

Wakacje z mułłami – cz. 3

12 października 2007

Wkrótce zagadnęła nas po angielsku młoda dziewczyna. Po standartowych pytaniach skąd jesteście i jak nam się tu podoba zaczęła nas oprowadzać po mieście. Najpierw chciała pokazać nam Meczet Wezyra. Weszliśmy do środka na skróty, przez jakieś na pół ukryte drzwi z bazaru. Niestety wewnątrz było nieoświetlone z powodu remontu. Zapytałam naszą towarzyszkę o mój ubiór. Stwierdziła że zgodnie z Koranem jestem odpowiednio zakryta, więc wszystko powinno OK. Po chwili jednak, widząc wciąż ścigające mnie nieprzyjazne spojrzenia, doszła do wniosku, że aby zażegnać kontrowersje powinnam jednak niezwłocznie kupić tą tutejszą szatę dla kobiet. No więc, gdy przy głównym placu napatoczyliśmy się na przekupniów sprzedających "manteaux" na chodniku, kupiłam tani, czarny, poliestrowy płaszcz za kolana, z aluminiowymi guzikami.

Od tej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, moje kłopoty się skończyły i wtopiłam się w tłum innych kobiet paradujących po ulicach. Nasza urocza towarzyszka miała około 18 lat i buntowniczą duszę. Otwarcie lekceważyła nakazy i zakazy ograniczające jej życie. Już sam fakt, że była sama wieczorem, bez żadnego towarzystwa było naruszeniem obowiązujących norm. Miała dla nas dziesiątki propozycji wciąż zapalając się do nowych pomysłów.-Chodźmy tu, muszę wam to pokazać...

Wreszcie około dziewiątej przypomniała sobie o domu i rodzinie.

– Chciałabym przedstawić was mojej mamie, więc zapraszam was do naszego domu.

Próbowała zatrzymać jakąś taksówkę, ale wszyscy kierowcy, widząc ją w towarzystwie zachodnich dekadentów, odmawiali, z nieprzyjemnymi, sądząc z miny która rzedła jej coraz bardziej,

komentarzami.

– Będę w dużych kłopotach w domu, – wyznała wreszcie cicho.

Byliśmy zbyt zmęczeni by wypuszczać się w nocy na dalsze przygody w nieznanym terenie. Pożegnaliśmy więc naszą towarzyszkę i wróciliśmy do hotelu.

Obiad zjedliśmy w naszej hotelowej restauracji, standartowe danie jakim tutaj jest kebab z kury podawany z ryżem. W herbacie pływały oka tłuszczu z niedomytej filiżanki, z zamkniętymi oczami dało się ją jednak jakoś wypić, byliśmy zbyt zmęczeni i głodni, żeby wybrzydzać. Restauracja, w piwnicy hotelu, urządzona jest w stylu tradycyjnym, z ceglаныmi sklepieniami na niby, ścianami zawieszonymi antycznymi przyborami gospodarstwa domowego, bibelotami i bronią, z małą fontanną z basenikiem na środku. Z głośników sący się stara perska muzyka, dosyć nawet niezła, a na pewno lepsza od sztaampowej muzyczki w restauracjach w domu.

Krzysiek studiuje perskie rozmówki i wciąż się dziwi że perski jest tak podobny do języków europejskich. Sporo słów bardzo podobnych do polskich, czy rosyjskich, zwłaszcza te o starych korzeniach, jak liczby, czy nazwy zwierząt domowych. Nawet odmiana przez przypadki ma podobne końcówki.

Nareszcie do łóżka po męczącym dniu. Materace i poduszki są z gąbki twardości kamienia. Spaliśmy niezle, ale wstałam zupełnie obolała i pokurczona. W negliżu podeszłam do okna i już już miałam je odsłonić, kiedy Krzysiek mnie odciągnął. Byłam przecież nie ubrana i mogłam spowodować skandal pokazując się ludziom na ulicy!

Idąc na śniadanie do restauracji hotelowej przywdziałam strój obowiązkowy i ukryłam starannie grzywkę. Liczna rodzina przy sąsiednim stoliku pozdrowiła nas uprzejmie, a jedna z kobiet poczęstowała nas garścią włoskich orzechów. Zgodnie z tutejszym zwyczajem trzeba było dwa razy odmówić, a dopiero potem przyjąć. Na śniadanie dostaliśmy świeży, jeszcze ciepły

chleb plackowy, pieczony na miejscu w specjalnym glinianym piecu, owczy serek, jajka sadzone i dżem z marchwi. Po śniadaniu wychodzimy na ulicę. Pogoda ładna, ciepła i sucha. Wczoraj myślałam że zemdleję z gorąca w obowiązkowych szatach. Dziś jest mi wciąż gorąco, ale trochę lepiej. Chyba jestem wreszcie przyzwoicie ubrana i nie powinnam już nikogo kłuć w oczy. Rzeczywiście, chociaż jestem wciąż zauważana, to już bez niechęci, a raczej z ciekawością. Co za ulga po wczorajszych przeżyciach!

Trafiliśmy w Sziraz na wielkie uroczystości, bo akurat trwają tutaj aż dwutygodnie obchody Nowego Roku i jest to dla Irańczyków największe w roku święto, a Shiraz jest tradycyjnym miejscem pielgrzymek z tej okazji. Miasto pęka w szwach od miejscowych gości, a turystów zagranicznych ani śladu. Stara twierdza w centrum, ze swą krzywą wieżą, bazar, mauzolea szyickich świętych i poetów obleżone przez niezliczone tłumy. Spędziliśmy parę godzin na bazarze podziwiając trudne do wyobrażenia bogactwo rękodzielnictwa, sztuki, biżuterii. Bazarowy labirynt, w którym nie sposób się nie zgubić, to całe miasto sklepów, straganów, dziedzińców, maleńkich meczetów i kaplic, po którym można łązić do padnięcia, bez końca znajdując interesujące zakamarki. Ciągnie się kilometrami i trudno znaleźć wyjście. Kiedy wreszcie jakoś się stamtąd wydostaliśmy, postanowiliśmy odwiedzić mauzoleum Hafiza, największego perskiego poety lirycznego (żył w XIV w). Irańczycy kochają poezję, wiersze Hafiza są w każdym domu, na równi z Koranem, a poeci zajmują równie poczesne miejsce w narodowej pamięci jak szyicki święci i męczennicy. Grób Hafiza jest celem wszystkich pielgrzymów przybywających do Shirazu i wszyscy którzy tu przyjeżdżają na Nowy Rok, kierują tam swe pierwsze kroki. Dla nas podstawowym problemem okazał się transport. Autobusy miejskie oznaczone są wyłącznie numerami perskimi (arabskimi). Umiemy je czytać, ale co z tego, skoro nie ma żadnej informacji o trasach autobusowych. Miejscowi wiedzą gdzie co jeździ, natomiast turyści zdani są na klimatyzowane autobusy jeśli podróżują w grupie, albo

taksówki, które są dla nich bardzo tanie. My tymczasem lubimy mieszać się z miejscowymi. Większość tutejszych jeździ "gromadzkimi" taksówkami w kilka osób, płacąc ustalone, znane im ceny. Niestety do tego typu podróżowania konieczne są znajomość języka, miasta i sporo miejscowego obycia, bo takie taksówki łapie się w biegu. Trzeba stanąć na krawężniku i, unikając rozjechania, czekać aż nadjedzie któryś z dychawicznych, poobijanych, wyładowanych po brzegi Paykanów. Jeśli ma wolne miejsce, zwalnia na ułamek sekundy. Trzeba wówczas krzyknąć nazwę miejsca do którego chce się dotrzeć, oczywiście po persku. Żaden kierowca nie stanie by wdawać się w tłumaczenia czy wyjaśnienia. Jeśli zrozumiał dokąd, i jedzie w tym kierunku, zatrzyma się. Zabawa się na tym nie kończy. Często niezbędne jest przetasowanie pasażerów, tak by mężczyźni nie siedzieli obok obcych kobiet. W końcu odjeżdża, by lekceważąc wszelkie przepisy, nakazy i zakazy drogowe, włączyć się w zmotoryzowany uliczny chaos. Zachodnim turystom niemalże nigdy nie udaje się podróżować takimi gromadzkimi taksówkami. Kierowcy ich ignorują, chyba że nie mają innych pasażerów. Mogą wówczas z o wiele mniejszym zachodem zarobić o wiele więcej, nie zabierając już nikogo innego i zawyżając bezlitośnie ceny.

Nawet nie próbowaliśmy łapać gromadzkich taksówek, zatrzymaliśmy jakąś pustą i kazaliśmy się zawieźć do Hafizii. Po raz pierwszy doświadczyliśmy na własnej skórze jak wygląda taka jazda w godzinach szczytu i co znaczy nadmiar aut i nieprzestrzeganie jakichkolwiek przepisów: – Obłąkana dżungla!

Dla nas wygląda to jak całkowicie "wolna amerykanka" choć na pewno w tym szaleństwie jest jakaś metoda.auta nie jeżdżą, lecz miotają się do przodu i na ukos po parę centymetrów w tłoku innych samochodów, autobusów, setek motorków i okazjonalnie osłów. Każde posunięcie jest po prostu wymuszane na innych użytkownikach drogi. Trąbieniem reaguje się na sytuacje na "absolutny styk". Zanim przejechaliśmy te cztery kilometry wiele razy zamykaliśmy z przerażenia oczy.

Dojechaliśmy wreszcie w całości, z jednym zaledwie otarciem bocznym i jednym stuknięciem z tyłu, które nasz kierowca raczej zlekceważył, kwitując je tylko mamrotanymi pod nosem i na szczęście niezrozumiałymi dla nas komplementami pod adresem sprawcy. Zgodnie ze zwyczajem przepłaciliśmy dwa razy. Kiedy wysiedliśmy przed parkiem gdzie znajduje się mauzoleum zobaczyliśmy ogromny czarny tłum kłębiący się przed kasami. Tysiące ludzi w kolejce do wejścia, drugie tyle w parku za ogrodzeniem. Zrezygnowaliśmy. Jakimś cudem przedostaliśmy się przez kłębowisko aut na jezdni i po drugiej stronie znaleźliśmy przyjemny park obsadzony drzewami pomarańczy, z ławkami do siedzenia i kanałami nawadniającymi. Przed wejściem uliczny sprzedawca zachwalał jakieś czerwone kulki podobne wyglądem do rodzynek. Przepłaciliśmy kilka (?) razy. Okazały się podsuszonymi sokowymi wiśniami. Nawet orzeźwiająca. Dookoła naszej ławki pełno było rozrzuconych pestek, natomiast ani jednego kosza na śmieci w pobliżu. Sądząc, że jest to tu normalka wypłułam również parę, na co Iranka z sąsiedniej ławki podeszła do mnie i z surową miną, na migi pokazała mi, że trzeba je rzucać nie pod siebie na chodnik, tylko za siebie, pod drzewa. Skopałam je wszystkie ze ścieżki. Poczęstowała nas prażoną kukurydzą.

Z powrotem wracaliśmy już piechotą. Po drodze przeszliśmy przez średniowieczny kamienny most nad zaśmieconą rzeką i zajrzeliśmy na dziedziniec jakiegoś mauzoleum z przepiękną cebulastą kopułą, wykładaną lśniącymi błękitnymi kafelkami. Na lunch poszliśmy do jednej z turystycznych knajpek przy głównej ulicy, na "irańskie sandwicze", czyli europejskie bułki, nadziane irańskim kebabem, sałata, cebulą, kiszonymi burakami i ogórkami, a potem wróciliśmy do hotelu aby wydychać zmęczenie. Pod tą chustą moje włosy są tak przepoczone i przyklapnięte, że nie jestem pewna czy je wogóle mam, jedynym pocieszeniem jest to, że na zewnątrz ich nie obnoszę. Jedną z największych przyjemności jest wejście do pokoju i rozebranie się do majtek i stanika. Niestety, nawet przez okno nie wolno wyjrzeć z odkrytą głową bez narażenia się na większe problemy,

a firanki i zasłony muszą być szczelnie zaciągnięte, by nie gorszyć przechodniów.

Po południu zwiedziliśmy dawną łaźnię wezyra (Hamum e Vakil), obecnie herbaciarnię. Popychani z tyłu przez tłum weszliśmy do przepięknego budynku ze złotego piaskowca, przykrytego kilkoma kopułami. Jest to perełka architektury z osiemnastego wieku. Kilka rozległych ośmiokątnych sal pod sklepieniami opartymi na misternie rzeźbionych w spirale kolumnach, przepiękne kolorowe freski i sklepienia. Pod ścianami na "ławach" – podwyższeniach przypominających szerokie łóżka, wystanych dywanami i poduszkami siedzą po turecku i pótleżą goście, popijając herbatę po irańsku, czyli ze szklanek, sącząc ją powoli przez kostkę cukru trzymaną w zębach i paląc fajki wodne (qalyan). Grupa miejscowych poprosiła nas o zrobienie im zdjęcia ich aparatem. Krzysiek upozował ich starannie, a że wyglądali zbyt poważnie, zrobił głupią minę żeby ich rozśmieszyć.

Po wyjściu z łaźni-herbaciarni pokręciliśmy się trochę po głównym placu wokół cytadeli, podziwiając podświetlone kolorowo fontanny, a potem wróciliśmy do hotelu.

Koniec części trzeciej

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)